

## Etiopia: Gliniany krążek na szczęście

**Autor: Zbigniew Borys**

Źródło: Podroże 6/2007

Kiedy pierwszy raz zawitałem do Etiopii, z "Cesarzem" Kapuścińskiego w plecaku, nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo ten kraj mną zawładnie. Od tego czasu wracałem tam wielokrotnie. Za każdym razem podróżując coraz dalej od utartych szlaków.



Lalibela

fot. Zbyszek Borys

Japończycy zamiast wybudować w Etiopii nowoczesną fabrykę monitorów, zainwestowali w drogi. A właściwie w jedną, tę prowadzącą z Addis Abeby na północ, w kierunku Bahar Dar. Jest to szosa, której jakość tłumi trochę obawy turystów, że podróż poza stolicę może okazać się pierwszą w ich życiu szkołą przetrwania. Po około 200 km kończy się asfalt. I to, z niewielkimi wyjątkami, na dobrych kilkanaście dni. Wtedy też zaczyna się prawdziwa podróż po peryferiach Etiopii.

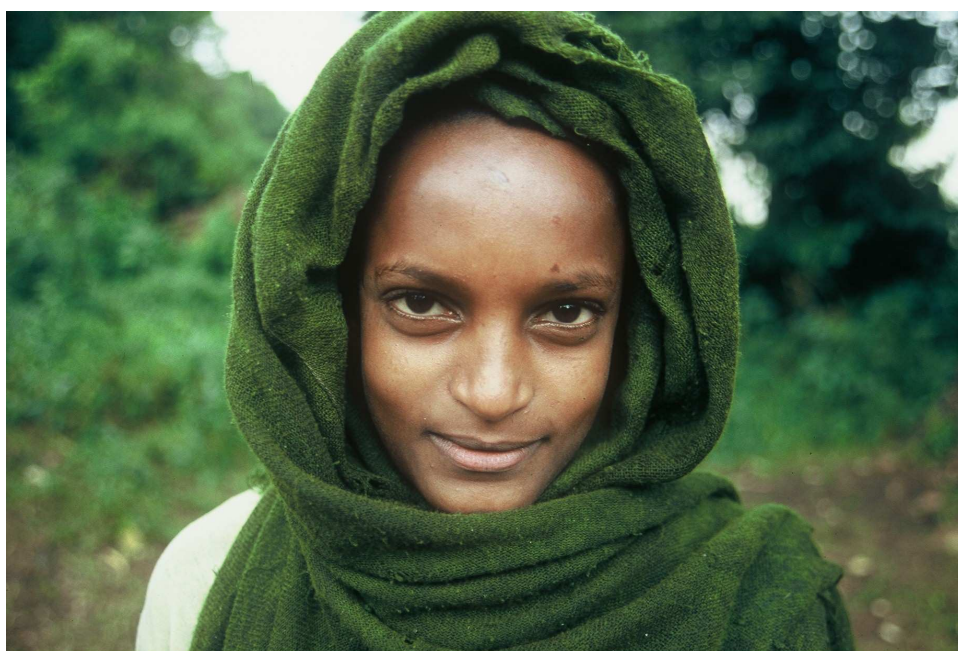
### **Podróż do źródeł Nilu**

Celem jednej z nich jest fascynujący Nil Błękitny. Moment spotkania z rzeką jest szczególny, bo odbywa się na moście, który spina brzegi niezwykle pięknego kanionu. Widoki są tak cudne, że aż proszą, żeby wykonać parę pamiątkowych fotek, ale niestety, nie wolno - to obiekt strategiczny. Stamtąd niedaleko już do drugich co do wielkości wodospadów w Afryce, zwanych Dymiącą Wodą (Tis Isat). Ta woda jednak już nie dymi. Nowo wybudowana elektrownia zabiera znaczną jej część, pozostawiając prawie 400-metrową ścianę w cieniu. Dziś w miejscu, w którym jeszcze nie tak dawno można było oglądać niezwykle spektakl odgrywany przez miliony kropel wody, barwy tęczy i złowrogi grzmot, dziś zauważymy jedynie kilka niezbyt szerokich strumieni. Przypominają one warkocze łez,

które tworzy rzeka, tak jakby chciała zapłakać za dniami dawnej świetności. Z Tis Isat jest już blisko do miejsca, skąd bierze ona swój początek - nad jezioro Tana.

### **Wielkie jezioro, mała wyspa i stare księgi**

Kiedy dotarłem do Bahar Dar, powietrze pachniało już nocą. Jak noc wyglądała też toń największego jeziora w Etiopii. Hotel Ghion jest pięknie położony nad jego brzegiem, otoczony klombami barwnych kwiatów, pośród których rozpostarł swe konary olbrzymi mangowiec. Nazajutrz rano właśnie pod nim usłyszałem pierwszy etiopski koncert. Wśród gęstego listowia nie mogłem dostrzec ptasich solistów, dlatego też mój wzrok bezwiednie spoczął na gładkiej tafli jeziora. Wiedziałem, że gdzieś tam, pośród bezkresu wód znajdują się miejsca magiczne. Z zadumy wyrwało mnie nieśmiałe chrząknięcie i odgłos stawianej filiżanki. To poranna kawa. Etiopska. Uważana za najlepszą na świecie. Nic dziwnego, to przecież niedaleko stąd, w prowincji Kaffa, narodził się zwyczaj, najpierw żucia, a potem przygotowywania naparu z ziaren kawowca. Na pytanie kelnera, czy potrzebuję czegoś jeszcze, odpowiedziałem, że tak. Potrzebuję łodzi.



Bahar Dar

fot. Zbigniew Borys

Świergot ptaków został zagłuszony przez warkot silnika i po chwili wypływałem już w otchłań jeziora Tana. Mój mangowiec stawał się coraz mniejszy, a na horyzoncie wyłaniał się zarys półwyspu Zege i niewielkiej wyspy Kebran Gabriel, cel mojej wycieczki. Podróż trwała grubo ponad godzinę. Był to okres jakby zawieszony w czasoprzestrzeni. Pamiętam zamyśloną twarz sternika, strudzone dłonie rybaków balansujących na papirusowych łódkach, pelikany nurkujące w poszukiwaniu zdobyczy i niewielkie fontanny wody wydobywające się z hipopotamich nozdrzy. Dopłynąwszy na wyspę, od razu poczułem, że jestem w miejscu niezwykłym, a kiedy minąłem bramę z napisem "Paniom wstęp wzbroniony", na mojej twarzy bezwiednie pojawił się uśmiešek rodem z ostatnich scen "Seksmisji". Byłem przekonany, że już za moment znajdę się w zupełnie innym świecie. Wdrapałem się na szczyt wzgórza i ujrzałem owalny kościół, jakby żywcem wzięty z XVI-wiecznych rycin. Wewnątrz było mrocznie i skromnie. Wysłuzone dywany, instrumenty liturgiczne przytulone do drewnianych belek, wyblakłe malowidła na ścianach. Wszystko to tworzyło osobliwy, trochę nierealny nastrój. Natomiast mnich, który bezszelestnie pojawił się w drzwiach świątyni, był jak najbardziej prawdziwy.

Podążyłem za nim do niewielkiego kamiennego budynku, nazywanego tu skarbcem. Pamiętam zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku, metaliczny zapach pokrytych patyną srebrnych krzyży, wysłużone pergaminy kilkusetletnich woluminów i subtelne barwy z czcياً odślanianych ikon.

Poczułem się znowu dzieckiem pamiętającym bajki o zaczarowanych pierścieniach i magicznych księgach. To było niezwykle uczucie powrotu do przeszłości, tak silne, że towarzyszyło mi ono jeszcze długo, bardzo długo po powrocie.

### **Szlakiem dawnych abisyńskich stolic**

Gonder. To miejsce Włosi wybrali na główną bazę wojskową podczas niechlubnych kilku lat okupacji Etiopii. Z tego też okresu pochodzi kilka budowli w centrum miasta, wszystkie w stylu tzw. faszystowskiego art déco. To jednak nie architektoniczne wizje rodem z dalekiej Italii przyciągają tu turystów, ale wybudowane trzy stulecia wcześniej monumentalne zamki i pałace. To właśnie w tym miejscu powstała trzecia z kolei stolica Etiopii.



Lalibela

fot. Zbigniew Borys

Przekraczając bramę wiodącą na teren dawnych zabudowań pałacowych, sam nie wiedziałem, czego się spodziewać. W wyobraźni miałem obraz prymitywnych, wykonanych z gliny i drewna założeń obronnych w typowo afrykańskim stylu. Jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy moim oczom ukazały się solidne kamienne konstrukcje o harmonijnych kształtach. Najpotężniejsza z nich to oczywiście zamek króla Fasilidasa, założyciela Gonder. Wyglądał wspaniale - dwukondygnacyjny, z masywną kwadratową wieżą i czterema strażnicami po bokach. Pomyślałem sobie, że gdyby tak umieścić ten obraz na pocztówce i dla żartu podpisać np. "Pozdrowienia ze Szkocji", wielu moich znajomych mogłoby się dać nabrać. Tak bardzo nie afrykański był to widok. Chcąc trzymać się pewnej chronologii w odnajdywaniu dawnych abisyńskich stolic, udałem się do Lalibeli. Kiedyś to miejsce nazywało się Roha i było jedną z wielu wiosek zagubionych wśród gór Lasta. Dziś to główna atrakcja turystyczna Etiopii. A wszystko za sprawą króla Lalibeli, który postanowił zamienić okoliczne skały w pięknie zdobione kościoły. Był XII wiek. Chrześcijaństwo w Etiopii zakorzeniło się już na dobre i wielu wiernych udawało się na pieszą pielgrzymkę do odległej Jerozolimy. Po drodze czyhało a nich wiele niebezpieczeństw. Nie wszyscy zatem osiągnęli cel, a tylko nieliczni wracali szczęśliwie do domu.

Król Lalibeli zdecydował więc, że wybuduje własną, afrykańską Jerozolimę. I tak też uczynił. Za jego życia powstało 11 kościołów, wszystkie wykute w wulkanicznym tufie. Dzieło niezwykle, do dziś rodzące pytania i pozostawiające wiele z nich bez racjonalnych odpowiedzi. Chyba że zaczniemy wierzyć w legendy, pomoc aniołów i nadprzyrodzone moce. Odwiedziłem wszystkie te kościoły - każdy z nich jest czystym pięknem zaklętym w kamieniu. Najbardziej polubiłem wędrówki między nimi. Pokonywanie kamiennych mostów, przeciskanie się przez ciemne tunele, łapanie równowagi na wąskich schodach prowadzących w głąb litej skały jest prawdziwą rozkoszą. Tam też podjąłem decyzję, że najwyższy czas odwiedzić pierwszą stolicę etiopskiego państwa.

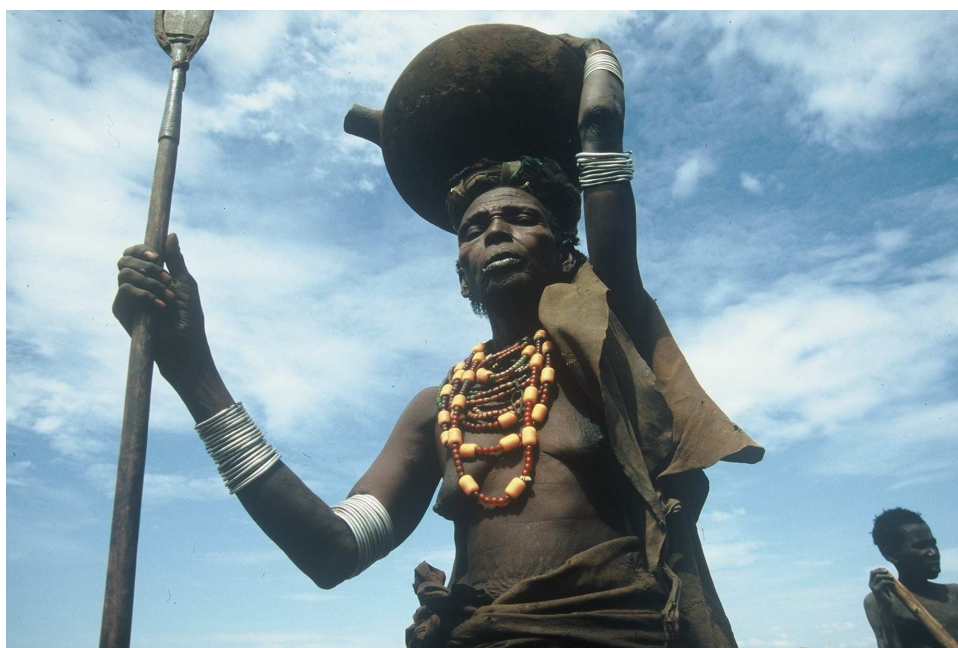


Turmi

fot. Zbigniew Borys

Są dwie możliwości dotarcia do Aksum: trzydniowa jazda przez góry lub przelot, który trwa niespełna godzinę. I chociaż zawsze, jeśli mam wybór, decyduję się na dłuższą podróż, tym razem postanowiłem, że polecę samolotem. Do dziś żałuję, że podróż trwała tylko 55 minut. Widok gór Simien, których najwyższe szczyty prawie muskały podwozie, należał do jednych z najwspanialszych podczas mojej wyprawy. Wtedy też postanowiłem, że kiedyś popatrzę na nie z bliższej perspektywy. Nazywane kolebką etiopskiej cywilizacji Aksum na pierwszy rzut oka wcale nie wygląda na najstarsze miasto w kraju. Zebranie dowodów na to, że jednak tak jest, zabrało mi cały dzień. Największe wrażenie zrobiły na mnie monumentalne stele nagrobne przypominające wieżowce wykute w kamieniu. Stoi ich zaledwie kilka. Najwyższą z nich jest 24-metrowa stela króla Ezana, niejako symbol miasta. Nieopodal znajduje się tzw. Wielka Stela. To największy monolityczny obelisk skalny na świecie, który próbowano kiedykolwiek wznieść. Ale się nie udało. 33-metrowa bryła pięknie obrobionego granitu prawdopodobnie zawałała się podczas próby jej postawienia. Piszę prawdopodobnie, gdyż w Aksum nic nie wiadomo na pewno. To, co możemy dziś podziwiać, stanowi niewielki procent tego, co spoczywa jeszcze pod ziemią. Ale nie wiadomo gdzie. Uważa się, że już niedługo właśnie tutaj nastąpią zadziwiające ludzkość archeologiczne odkrycia na światową skalę. Aby zobaczyć to, co udało się już wykopać, niezbędna jest wizyta w muzeum. Tam eksponowane są znaleziska z dawnych grobowców, które nie pozostawiają złudzeń, że właśnie tutaj narodziła się jedna z najpotężniejszych cywilizacji na Czarnym Lądzie. Budynek muzeum sąsiaduje z terenem należącym do kościoła św. Marii z Syjonu. Świątynia powstała w latach 60-tych ubiegłego wieku, a jej projekt narodził się w głowie ostatniego cesarza Etiopii - Hajle

Sellasje. To kolos z betonu i szkła. Bo taki miał być. Natomiast tuż obok znajduje się miejsce, w którym przechowywana jest największa tajemnica Aksum - Arka Przymierza.



Omorate

fot. Zbigniew Borys

### **W poszukiwaniu Afryki prawdziwej**

Gdy północ Etiopii kusi zabytkami i przeszłością, południe kraju to idealne miejsce dla miłośników dzikiej przyrody. Jadąc w kierunku Arba Minch, jeszcze raz układałem w głowie dynastie, starałem się, by nie uleciały z pamięci nazwy kościołów i zamków. Tak naprawdę jednak jechałem na południe, żeby odpocząć. Wiedziałem, że tam nie ma żadnych zabytków. I choć cenię sobie kontakt z historią, przyznam się, że mnie to cieszyło. Myślałem o tym, jak wielkim doznaniem będzie spotkanie z niesamowitą afrykańską przyrodą. Po całym dniu spędzonym w samochodzie najlepsze miejsce na wypoczynek to Bekele Mola Hotel. To chyba jeden z najpiękniej położonych hoteli w Etiopii. Widok z tarasu na zalesione szczyty Parku Narodowego Nechisar i dwa sąsiadujące z nim jeziora - Abiata i Chamo - to prawdziwa uczta dla oczu. Następnego ranka skoro świt wybrałem się właśnie do parku. Solidne auto z napędem na cztery koła, kierowca z opaską na czole, strome podjazdy i błotniste przeprawy. Witamy w Afryce! Po naprawdę karkołomnej jeździe dotarłem na otuloną zielonymi wzgórzami sawannę z płową trawą i atmosferą rodem z powieści Karen Blixen. I zrobiłem coś, co podczas innych wypraw typu safari byłoby rzeczą niepojętą. Wszedłem z auta. Tak po prostu. O dziwo nikt nie wołał, że to zabronione, niebezpieczne. Wysoka trawa ugięła się pod moimi stopami, płochliwe gazy, widząc mnie, czmychały na bezpieczną odległość, a młode guźce, kręcąc zgrabnymi tyłkami, szukały kryjówek w zaroślach. Tylko zebry pozwalały podejść na tyle blisko, że do woli mogłem cieszyć się ich towarzystwem. Aby w pełni docenić piękno tego miejsca, wypłynąłem późnym popołudniem na jezioro Chamo. O tej porze dnia wyglądało ono jak bryła ametystu uwieczniona wśród zalesionych stoków. Granatowa tafla jeziora tylko z początku wydawała się monolitem. Z czasem pojawiły się na niej rysy, pęknięcia i dziwne plamy - były to stada pelikanów i czapli, baraszkujące hipopotamie rodziny i chropowate grzbiety krokodyli.

### **Na planecie nieznannej**

Za Arba Minch kończy się asfalt. Tuż za Konso odchodzi w bok droga wiodąca do tzw. Nowego Jorku. I chociaż konsekwentnie omijam wszystkie Nowe Jorki tego świata, coś mnie

podkusiło, żeby tam pojechać. Było warto. Etiopski Nowy Jork okazał się doliną z cudnymi formami skalnymi stworzonymi przez wiatr, wodę i siłę ciężenia. Dla geologów to rarytas. A dla mnie jedno z najdziwniejszych miejsc w Etiopii. Ale dziwnie dopiero miało być...



Góry Simien

fot. Zbigniew Borys

W Jinka właściwie jeszcze wszystko wyglądało normalnie, może oprócz lądowiska dla awionetek, które wytyczono w samym sercu osady. Jeszcze przed świtem dotarliśmy do rogatek miasta. Kilka formalności związanych z wstępem do chronionej części doliny rzeki Omo i mogliśmy jechać dalej. Dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że ów szlaban nie stanowił jedynie zwykłej granicy parku narodowego, ale też oddzielał mój świat - poukładany i zrozumiały - od świata - który miał mi niedługo wyjść na spotkanie. Zanim dojechaliśmy do pierwszej wioski, ujrzałem sylwetki ludzi, jakby utkanych z porannych mgieł. Wyglądali pięknie i groźnie. Pomalowane twarze, rytualnie ponacinane ciała, metalowe obręcze na rękach, pnącza koralu zdobiące kobiece szyje i złowrogie lufy karabinów na męskich barkach. Bałem się ich i pragnąłem jednocześnie. - To Mursi - rzucił kierowca i zatrzymał auto. Wykute w skale świątynie, bezkres gór Simien, ludy, które żyją, jak ich przodkowie - w Etiopii łatwo się zakochać. Jedna z kobiet podeszła bliżej. Nie mogłem jednak zobaczyć jej całej twarzy. Miała na głowie tak wiele ozdób, że przypominała mały, przenośny antykwariat. Dostrzegłem tam metalowe spirale, kapsle, mnóstwo koralików, jakieś puszkę, bransoletę od zegarka i karabinowe łuski. Zaciekał mnie też gliniany krążek wielkości dyskietki, który trzymała w dłoni. W lot dostrzegła moje zainteresowanie i najwzyczajniej w świecie włożyła sobie go w dolną wargę. Oniemiałem. I ten stan nie opuszczał mnie przez cały mój pobyt na południu Etiopii. Kilka dni później kupiłem podobny krążek na największym na południu kraju targu w Key Afar. Nosilem go zawsze przy sobie, jak talizman.

Pamiętam niedowierzanie na twarzy celniczki na Okęciu, gdy wyjaśniałem, co to jest. Ja nie patrzę już na niego ze zdziwieniem. Spoglądam z tęsknotą za innym, niezwykłym światem. Leży u mnie na półce z książkami. Tuż obok mojej ulubionej lektury zatytułowanej "Czy istnieje życie na innych planetach?"

*Zbigniew Borys*